

Tuż po spóźnionej, ale jakże smacznej kolacji, Ewa, Tadeusz oraz Adam — odziani tylko w pidżamy — zasiedli przy owalnym stole w największym pokoju. Skrzyknęli się przy tym meblu owego późnego niedzielnego wieczoru — po prawdzie to już prawie nocy — z zamiarem czytania fragmentów grubej, oprawionej w szarą kartonową okładkę książki, która leżała na jego skraju. I nie przeszkadzała im ani niezbyt odpowiednia godzina do tego typu wydarzeń, ani tym bardziej półmrok panujący w pomieszczeniu. Po pierwsze mieli wakacje, a czasu przecież w tym okresie się nie liczy, a po drugie — i najważniejsze — nie było aż tak ciemno, by nie mogli poradzić sobie z odczytywaniem wyrazów. Na dodatek do spotkania z mackami Morfeusza też było im bardzo nie po drodze, przynajmniej teraz. Ponadto padający nikły blask czerwonych promieni udającego się na spoczynek słońca, spotęgowany słabym światłem z palącej się w kinkiecie żarówki dodawały temu miejscu szczególnego uroku i jeszcze bardziej oddziaływały na ich zmysły, pozwalając im, ba! zmuszając wręcz do popuszczania wodzy fantazji.

Czyli sytuacja była wręcz modelowa, idealna, by zagospodarować ją właśnie w taki sposób.

Dla Ewy i Tadeusza wydarzenie to miało być kolejnym podniecającym, miłym oraz — jak każde poprzednie — nostalgicznym spotkaniem z cudowną książką. A i przypomnieniem sobie pokrótce tak bliskich ich sercom, umysłom oraz duszom opowieści z odległych — dawno minionych — dni, rozgrywających się w miejscach i czasach, w których wszystko było piękne i beztroskie, bo dziewicze. Miało też — jak za każdym poprzednim razem — rozbudzić marzenia i nadzieje, a także przynieść ostry, ożywczy powiew wiary w to, że kiedyś uda się im (a wraz z nimi i całej rozproszonej społeczności Siellandii) odnaleźć swoją Ojczyznę, po czym osiąść tam na zawsze.

Dla Adama natomiast miało to być coś zgoła innego. Odmiennego. Nic w tym nowego, skoro znajdował się w opozycji do tej dwójki. Z tego to względu miał to być przede wszystkim początek drogi. Pierwsza z wielu lekcji, która miała powoli przygotować go do nowej roli. By mógł oswoić się z sytuacją, w jakiej znalazł się kilkanaście godzin wcześniej, gdy okazało się, jakiego okrutnego figla spletał mu los. W wyniku tej oraz mnóstwa kolejnych tego typu lekcji, czego był świadom, miał nadrobić stracony czas i zniwelować do minimum opóźnienie, a przez to przybliżyć się poziomem wiedzy do dwójki siedzących obok niego istot. Ale miał w sobie

wystarczająco dużo determinacji, przynajmniej tak mniemał, by podołać temu trudnemu skąd inąd zadaniu.

Dla nich wszystkich zebranych wokół stołu, na którym blask żarówki kładł wielkie, monstrualne i karykaturalne wręcz cienie ich pochylonych sylwetek, miał to być kolejny okres wspaniałych chwil spędzonych w gronie przyjaciół, z fantastyczną książką, niesamowitymi opowieściami i nostalgicznymi skojarzeniami, a i tęsknotą do utraconych, lecz wciąż możliwych do realizacji chwil. W tym i marzeń.

— I tak oto nareszcie mamy wolność — zauważył Adam, zajmując miejsce przy stole jako ostatni. — Taką prawdziwą wolność, bo w majestacie prawa — dodał. — I to ponad dwumiesięczną — natychmiast doprecyzował z dumą w głosie myśl, by nie zostać opatrnie zrozumianym. — Aż chce się żyć! — ostatecznie spuentował myśli.

To rzekłszy, na jego ustach pobłąkał się delikatny uśmiech, a w oczach pojawiły się isierki. Były niczym delikatny powiew wiatru w pełnym blasku słońca. Nieśmiały, zahukany i niepewny co do swego dalszego losu w konfrontacji z wielką, złotą kulą dającą ciepło i ostre promienie.

Były to oznaki autentycznego i entuzjastycznego zadowolenia, a nie szyderstwa czy sarkazmu.

Patrząc na jego dotychczasowe zachowanie łatwo dało się zauważyć, że od dłuższego już czasu bezpowrotnie zatracił w sobie smutek, zafrasowanie, strach i niedowierzanie, które jeszcze nie tak dawno gościły na jego obliczu oraz w sercu — a konkretnie w momencie, gdy zaskoczony, zły i niepewny co do dalszego swego losu, kilkanaście godzin wcześniej znalazł się na progu mieszkania przyjaciela.

Jednakże pobyt z Tadeuszem, a przez to szybki i nagły, niemal zawrotny rozwój wypadków, jaki miał miejsce po jego przybyciu, do tego poznanie Ewy, spaceru po okolicy, wreszcie beztrąsko spędzony wraz z nimi czas zrobiły swoje i całkowicie przegoniły ten „wisielczy humor”. Mało tego, bezpowrotnie odeszła mu ochota na zemstę, jaką jeszcze kilkanaście godzin wcześniej planował.

Ponadto miał to, co było w tym całym ambarasie języczkiem u wagi, mianowicie spokój i czas na przemyślenie postawy Tadeusza. Nic tak przecież nie leczy ran jak wyjście ponad emocje i czas. I, o dziwo, doszedł do wniosku, że ten jednak postąpił słusznie. Ba, sam posunąłby się na pewno do takiego rozwiązania — zauważył w konkluzji — gdyby znalazł się na jego miejscu.

I właśnie to ostatnie najbardziej zaważyło na zmianie w jego zachowaniu.

Przy okazji rozpatrywania tej sprawy przysiągł sobie też, że skoro prawda ma ujrzeć światło dzienne (a tego niewątpliwie właśnie w tym momencie chciał najbardziej, ba — postawił sobie to za punkt honoru), musi na nowo zacząć poznawać świat i od nowa go zdefiniować. A tylko podążanie tą samą łodzią co przyjaciel, nie inną i broń Boże bynajmniej nie w przeciwną do jego kierunku stronę, przyniesie spodziewany efekt. Dlatego odrzucił wszelkie emocje w ką, przystopował złość i pozwolił wyparować nienawiści. I na nowo stał się dobrym przyjacielem, który oczekiwał od partnera tego, co jest solą przyjaźni, czyli znalezienia złotego środka. I wyjaśnienia niedomówień.

I stąd ta jego szybka metamorfoza.

Tadeusz też ją zauważył. Cóż, nie było to trudne, skoro zmiana rzucała się w oczy. Emanował nią niczym słońce promieniami w parny dzień.

Oficjalnie mu tego nie powiedział, ale w duchu cieszył się, że powrócił stary, poczciwy Adam. Ten sprzed lat. Taki, z którym nie zawahałby się pójść konie kraść. Znowu pełen wigoru, spontaniczności, z uśmiechem na ustach. Nie poddający się. Dociekliwy. Kompletnie nie przejmujący się światem, tym bardziej że ten nie był wcale taki kolorowy.

A przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

Teraz jednak chwilę poświęcił na pochylenie się nad tą myślą. Sama przyszła i sama się rozpanoszyła, więc nie miał na nią wpływu. Dlatego podniósł rzuconą przez nią rękawicę i zaczął uporczywie, ale i rozpaczliwie — niczym tonący na głębokiej wodzie — poszukiwać w otchłaniach pamięci momentu, w którym owo przeobrażenie Adama nastąpiło. Ale niestety, nie potrafił dokładnie umiejscowić tej chwili. Jedyne z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczał, że miało to miejsce wtedy, gdy przyjaciel dowiedział się o pochodzeniu Ewy. Jednakże to była tylko jedna z poszlak, której niestety nie dało się ot tak uzasadnić.

„A może stało się to wcześniej?” — błędził po omacku w myślach.

Chwilę potem jednak uznał tę sprawę za nieistotną. Mało znaczącą. Była szczegółem, który niczego nie wniesie, nawet gdy zostanie precyzyjnie i zgodnie z prawdą ustalony. Najważniejsze było co innego, i to właśnie najbardziej go cieszyło. Zdawał sobie bowiem sprawę z faktu, że teraz — po tym, co się w ostatnim okresie stało — Adam będzie jak nigdy dotąd podatny na wszelkie jego sugestie i informacje dotyczące krainy, w którą do tej pory nie wierzył, której fakt istnienia podważał, a która

— czy tego chciał, czy nie — sama zapukała do jego drzwi, ba! nakazała mu je otworzyć.

Byłby cokolwiek niepoważny, gdyby nie skorzystał z tej podrzuconej mu przez los niesamowitej, szczególnej okazji. Oczywiście wszystko tylko i wyłącznie w granicach rozsądku i przede wszystkim w zgodzie z prawdą o Siellandii. Nie mógł przecież kombinować, rozmijać się z prawdą czy puszczać wodze fantazji, bo łaknący wiedzy Adam wszystko będzie bezkrytycznie pochłaniał niczym gąbka wodę. A potem — po ewentualnej (tego nie mógł wykluczyć) konfrontacji z rzeczywistością — mógłby znowu doznać szoku. I mieć, tym razem, uzasadnione pretensje.

Dlatego nie zamierzał kłamać, oszukiwać, kluczyć, ani tym bardziej zmyślać, a jedynie opierać się na szczerzej prawdzie. Dostyc już mu było kłamstw.

Co ciekawe, los znowu poszedł po bandzie i spowodował, że pierwsza ku temu okazja sama się nadarzyła. Wpadła w jego ręce niczym niczego nieświadoma zwierzyna w rozstawione po lesie wnyki.

I pomyśleć, że za sprawą samego Adama.

Nie mógł zatem zaprzepaścić tej szansy.

— Hm... — stwierdził z przekąsem. — O jakiej wolności mówisz? — nieśmiało zapytał, wymieniając ukradkowe spojrzenia z Ewą.

Wiedział, co autor miał na myśli, ale wolał, by ten doprecyzował swoją wypowiedź. Chociaż odpowiedź, jaką mu szykował wcale, czego był świadomy, nie miała dawać konkretnej odpowiedzi. Najważniejsze, że świetnie wpisywała się w to, czego przyjaciel od niego oczekiwał, jak i w to, czym było dla Adama to ich obecne spotkanie.

— Jeśli masz na myśli pojęcie ludzkiej wolności... — zaczął swój wykład, nie czekając na odpowiedź Adama — to mylisz się. I to bardzo.

Dostrzegł zaskoczenie na twarzy przyjaciela, co dało mu jasno do zrozumienia, że cel został osiągnięty. I to szybciej, niż przypuszczał. Natychmiastowo.

— Prawdziwa wolność dostępna była tylko w Siellandii — zaczął rozwijać myśl. — Nieskrępowana niczym swoboda. Pełne wyzwolenie. Zarówno w sensie mentalnym, obyczajowym, jak i w wymiarze praktycznym. Tam wolno było dosłownie wszystko. Na przykład chodzić nago — argumentował. — Ale jak ktoś chciał, mógł też chodzić w ubraniu. Wszystko w zależności od tego, jak komu najlepiej. Lecz nie było z tego powodu wyszydzania, wytykania, szkalowania. Ponadto można było żyć i nic nie robić lub żyć i pracować. Znowu decyzję pozostawiano tobie. I znowu nie było żadnego przymusu. Poza tym jedni drugim pomagali i tolerowali się wzajemnie. Nie miało

znaczenia to, kim jesteś, jakie masz poglądy, co robisz na co dzień, z kim przystajesz, a także co sobą prezentujesz. Nikt nikogo z tego powodu nie ignorował, jak i nie pokazywał nikomu swojej wyższości. Owszem, był jeden ogranicznik, ale jakże miły. I bardziej to był scalak niż rzecz, która by dzieliła. Mam na myśli mity i wspólną historię Siellandian. Ale z nimi się przecież nie dyskutuje, bo one są i będą prawdą zakończoną i niemożliwą już do zmiany. Dlatego nie możemy traktować ich w kategorii ograniczeń swobody. Należy także zauważyć, że Siellandianie często spotykali się ze sobą. Życie towarzyskie kwitło, chociaż gdy ktoś wybrał inną drogę, nikt o to nie miał pretensji. Również nikomu to nie przeszkadzało. Z tego co powiedziałem wynika, że dosłownie na wszystko można było sobie pozwolić. Nie było wszak (co ma miejsce współcześnie) krępujących więzów, takich jak chociażby polityka czy technologia. O uzależnieniu jednego od drugiego nie wspominając. Nikt też nikogo nie potępiał za to, kim jest. Wszyscy żyli w symbiozie. Wzajemnej pomocy. Tolerancji. Przyczyny takiego podejścia do życia przez istoty zamieszkujące Siellandię były różne. Nie czas i miejsce na ich analizy, ale fakt jest faktem. Czy wynika to z mitów, przekazanych w nich postaw Bogów, przekazywanej z pokolenia na pokolenie tradycji, czy też może zrobił to swego czasu Czas, gdy pogodził ze sobą wszystkie rasy? A może stało się to pod wpływem innych impulsów? Sprawa pozostaje niewyjaśniona i niech nadal toczony jest na ten temat spory i dyskusje. My też do tego dojdziemy w swoim czasie, tak więc o to się nie martw — stwierdził, dając przyjacielowi do zrozumienia, że jeszcze wiele wody w rzece Siel musi upłynąć, zanim zrozumie cały ten dziwny i zagmatwany świat. — A teraz przyjrzyj się bliżej ludzkiej wolności — umiejętnie, niczym kozica w kultowej, bo mitologicznej opowieści wprost z Siellandii, ze skały na skałę przeskoczył z tematu na temat. — To typowe antypody. Klasyczne przeciwieństwo. Nic tylko ciągłe nakazy i zakazy. Permanentne uzależnienia. Skrępowania. A to od gospodarki, od pieniądza, od polityki, od technologii. Narzuconej zazwyczaj przez garstkę mającą nagły wpływ na wszystko moralności. Innym razem od prawa ustanowionego przez ważnych i mogących decydować, a niekiedy i uzurpujących sobie takie prawo. Wreszcie jednego od drugiego. I to ciągle ma wpływ na wszystko. A już na pewno na postrzeganie świata, styl życia, tradycję, a nawet historię. W tym świecie tak już jest, że zawsze ktoś jest komuś coś winien, dlatego każdy, bez wyjątku, jest tu czyimś zakładnikiem. Lub czegoś. I, o zgrozo, ludzie mimo to uważają się za wolnych — zawiesił na moment głos.

Wymowna cisza spowodowana zaschnięciem w gardle nadała inny, głębszy wydźwięk ostatnim słowom. Ale chwilę potem, odchrząknąwszy, dokończył myśl słowami:

— Cóż, po prostu dowartościowują się w ten sposób.

— Jak to? — zapytał zaskoczony tym wykładem Adam. — A państwo nazywające się Siellandią? — błysnął wiedzą. — To brzmi jakby było pewnego rodzaju balastem u nóg każdego z jej mieszkańców — trafnie spostrzegł.

— Nie — wspomogła Tadeusza Ewa. — To ludzie nazwali je państwem, lecz Siellandia nigdy nim nie była. Oczywiście w ludzkim pojęciu tego słowa. Choć i ono dzisiaj co innego oznacza. Ale do dalszych dywagacji przyjmijmy, że chodzi nam o pojęcie państwa w rdzennym znaczeniu tego pojęcia. To, o czym myślisz, a co ludzie nazwali państwem — pospieszyła z wyjaśnieniem — było luźnym stowarzyszeniem miasteczek, osad, wsi i siół. Kto chciał, mógł przystąpić do niego. Na zasadzie pełnej dobrowolności. Bez jakichkolwiek uzależnień. Z poszanowaniem swojej odrębności. Stylu życia. Własnych narosłych przez lata obyczajów oraz doświadczeń. To raczej... — zebrała myśli niczym wiatr burzowe chmury — gdyby mówić współczesnym językiem, było platformą wymiany myśli i doświadczeń. Federacja ta dawała przynależność do wspólnoty, rozwój i współpracę ze sobą. Wymianę doświadczeń i przepływ istot, chociaż to ostatnie i tak miało miejsce w całej Siellandii. Owszem, kiedyś chciano stworzyć coś na kształt obecnych ludzkich państw. Ale ta koncepcja, z racji właśnie daleko idących ograniczeń wolności, upadła. Dlatego wycofano się z tego planu. Zresztą Siellandia zamieszkiwana była przez niewielką ilość istot i państwo jako takie nie miałoby tu racji bytu. Należy też pamiętać, że nie prowadziła żadnej wymiany handlowej czy też gospodarczej z innymi. Nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z żadnym innym. Nie była też nigdy zagrożona. O prowadzonej polityce międzynarodowej również nie można mówić, z powodów, o których dużo już powiedziałam. Z tych też względów nie miała waluty. Jedyne, czym się charakteryzowała, to wspaniałe przestrzenie, cudowna mitologie, mnóstwo różnorodnych wielowiekowych doświadczeń, swoboda obyczajów, przepływ ludności, słowa i myśli, no i... sól tamtejszej ziemi, czyli wspaniałe istoty. Kochające, pomagające sobie i będące dumne z przynależności do tej, a nie innej nacji. I to były elementy scalające. I stojące u podstaw owej, nazwijmy to... Federacji, jeżeli można w ten sposób nazwać wspomniany twór współczesnym słownictwem. Dlatego Tadeusz ma rację mówiąc, że prawdziwa wolność dostępna była tylko w Siellandii. Zresztą

przemawia za tym również drobny fakt, iż to właśnie Siellandia jest protoplastką życia na Ziemi w tym i ludzkiego gatunku, zatem to samo przez się jednoznacznie stawia ją w tym, a nie innym miejscu. A co do ludzi i ich pojęcia wolności, to w świetle naszych słów chyba sam zauważasz tę prawdę, że im jedynie wydaje się, że ją mają, ba — uzurpują sobie prawo do twierdzenia, że tylko oni są twórcami prawdziwej wolności. A przecież to zwykła hipokryzja. Będąc gnębionym na każdym kroku, tłamszonym, ograniczanym, godzić się na to i jeszcze mówić, że się jest wolnym? To tak, jakby otrzymać w twarz porcję śliny i uparcie wierzyć, że... deszcz pada.

— Ale sens słowa wolność — znowu przejął pałeczkę Tadeusz — wypowiedziany w tym języku może być inny — zauważył, zbliżając się tą wypowiedzią do sedna myśli Adama. — Wszystko zależy od kontekstu. W języku siellandiańskim by to nie przeszło, bo tam liczy się precyzja słowa. W twoim wypadku masz pewnie na myśli... wakacje?

Adam skinął głową na znak zrozumienia jego intencji.

— Wakacje... — z nostalgią w głosie podchwyciła temat Ewa. — Ja wiem, czy to można rozpatrywać w charakterze wolności? — zwątpiła. — Wolność i niezależność chwilowa — dopowiedziała — od szkoły to i owszem — filozofowała. — A zatem... — chwilę poszukiwała odpowiedniego słowa, które wyrażałoby to, co miała na myśli — bardziej fragmentaryczna jak całościowa wolność — ostatecznie skonkludowała. — I tylko w takich rozpatrując ją kategoriach mogę się z twoim stwierdzeniem zgodzić. Natomiast w sensie sedna problemu poruszanego słowem „wolność”, niestety już nie.

— Tak, Ewa ma rację w tej kwestii. Ale jako Siellandianin musisz też pamiętać o tym, że każdy z nas musi być precyzyjny w wypowiedzaniu się — pouczył go Tadeusz. — Mówi się konkretnie to i tylko to, co ma się na myśli. Zapamiętaj to sobie po wszystkie dni. A wtedy będzie ci łatwiej zrozumieć ten kraj i język.

— A jak brzmi w języku siellandiańskim słowo „wolność”? — nieśmiało zapytał, chcąc w ten sposób zakończyć definitywnie tę sprawę i przejść do kolejnej lekcji Siellandii, tym razem posiłkowanej leżącą na stole książką.

Tadeusz i Ewa znowu spojrzeli po sobie zaskoczeni.

— Poruszyłeś bardzo ciekawy problem — Tadeusz podjął chwilę potem wątek. — I tu cię zaskoczę, bo nie istnieje takie słowo w języku siellandiańskim. Nie dziwię się twemu zaskoczeniu — dodał, co było odpowiedzią na grymas malujący się na twarzy przyjaciela. — Może ci się to wydaje niespójne, ale taka jest prawda. I zaraz ci to wszystko wyjaśnię. Wolność według Siellandian to styl życia. Ich życia. Dany im od Bogów. A konkretnie zachowanie, o jakim ci opowiedziałem chwilę wcześniej. Co

więcej, na każdym kroku przez nich stosowany. Po prostu życia bez takiego stylu sobie nie wyobrażali. Była to zatem rzecz oczywista. Najnormalniejsza. Naturalna, zarówno w dosłownym znaczeniu (w sensie pochodzenia od Natury) jak i wtórnym (z całą wymową tego słowa). Ponieważ wolność była w Siellandii od zawsze, dlatego nie da się jej określić. Wiem, że to dziwne, ale taka jest prawda. I jedna z wielu tamtejszych anomalii. Ale Siellandianie przyjmowali to intuicyjnie. Gdyby na to spojrzeć z ludzkiego punktu widzenia, to wolność kojarzyła im się z Siellandią. Oczywiście to daleko idące uproszczenie, ale dla wyjaśnienia wskazane. Trzeba mieć przecież jakąś skalę porównawczą, by coś wytłumaczyć. Dopiero kiedy pojawili się w niej ludzie i zabrali wolność, wtedy doszło do rozproszenia i od tego momentu brak wolności jest właśnie nazywany tym terminem. W tej sytuacji logicznym staje się, aby nazwać rzecz znaną z istnienia Siellandii w Siellandii, czyli w ludzkim języku tak zwaną „wolność”, i przez to wprowadzić ten termin do siellandiańskiego słownika obecnych i przyszłych pokoleń. Myślę, iż wystarczy, że kojarzyć się będzie właśnie ze słowem „Siellandia”. Zresztą, tak na marginesie, to słowo-wytrych, zastępujące oraz definiujące wiele znaczeń. Wiem, że ci namieszałem, ale na razie, na tym etapie, musisz przyjąć to wytłumaczenie w takiej postaci. Kiedyś, gdy będziesz daleko zaawansowany w poznaniu tego wspaniałego świata, wtedy zrozumiesz wszystko, te słowa również. Czy cię przekonałem?

Zapadła cisza, która, kiedy spojrzeć na jej przyczynę z pozycji każdej z siedzących przy stole istot, inny miała wydźwięk, co było sprawą jasną i oczywistą dla postronnego obserwatora.

Nie trwała jednak długo, bo kilka sekund potem przerwał ją donośny głos Tadeusza, który otworzywszy na pierwszej zapisanej stronie książkę, wokół której się skupili, zaczął wolno czytać:

— *Ditu Mi ni-uk or Mit-Des...*<sup>1</sup>

\*\*\*

W tym samym czasie w odległym o ponad trzysta kilometrów od tego mieszkania domku na wsi — do niedawna należącym do babci Tadeusza, ale niebawem, zgodnie

---

<sup>1</sup>„*Ditu...*” (siell.) Andrzej P., „Mitologia”, egzemplarz jeden z dwudziestu w wersji siellandiańskiej, str. 5. „Chociaż zawsze miałem...” (pol.), tłumaczenie: Andrzej P., „Mitologia”, egzemplarz jeden z dwudziestu w wersji polskiej, str. 5. W dokładnym tłumaczeniu: „Chociaż Ja miałem od Mitologicznej Pustyni... („od Mitologicznej Pustyni” można uznać za: „od początku, od zawsze”)” — przyp. autora.



z testamentem oraz ostatnią wolą właścicielki, będącym własnością jej prawie siedemnastoletniego wnuka — jego ciocia i wujek siedzieli na skórzanej, brązowej kanapie i rozmawiali. Dźwięk ich głosu — chociaż wcale go nie podnosili — rozchodził się po całym domku. Cisza panująca wokoło potęgowała go i niosła w najdalszy zakamarek każdego pomieszczenia, odbijając od ścian głuchym, dudniącym echem.

Za oknami jednego i drugiego pomieszczenia panował półmrok rozświetlony bardzo bladą, czerwoną smugą bijącą z promieni zachodzącego już słońca. Odznaczała się pionowymi ognistymi pasami, rzucającymi na okoliczną przyrodę blask i ubierającymi ją w swoistą, wielką czerwono-złotą szatę. Wynikał z tego prosty wniosek, że jeszcze tylko kilka minut brakowało do chwili, w której czerwony skrawek okręgu odmierzającego na tej planecie czas dnia i towarzyszący mu od jego porannych narodzin do wieczornej śmierci, niebawem uda się na spoczynek po drugiej stronie horyzontu.

Wspaniały to był widok. Co więcej, tak bardzo wpłynął na jego dorosłych obserwatorów, że uciszył ich głosy, wywołał w nich wspomnienia cudownych, razem spędzonych chwil życia, a także po raz kolejny uświadomił im istotę przemijania oraz niemożliwą do powstrzymania i okiełznania jej siłę.

Młodzię siedząca przy owalnym stole w dużym pokoju mieszkania Tadeusza także pewnie zareagowałaby podobnie. Przynajmniej ścisnęłoby ich w sercu, może nawet na chwilę zaniemówiłoby, czy nawet otworzyli usta z wrażenia. Cóż, byli wszak bardzo uczuciowymi istotami. Lecz tak się nie stało. Na tyle mocno zaangażowali się bowiem w to, co robili, że natychmiast stracili poczucie czasu i przestrzeni, nie widząc świata poza tym, co zajęło ich bez reszty, przez co całe otoczenie wysyłające do nich jakiegokolwiek bodźce nie było w stanie przebić się przez szczelny kokon, w jakim się znaleźli. W tym i to cudowne zjawisko, aż zapraszające do skojarzeń z krainą, z której pochodzili. Niestety, pomimo usilnych starań nie wpłynęło ono na nich, ich dusze, umysły oraz serca w żaden sposób. Nie powstał z tego powodu w myślach Tadeusza wiersz. Nie pociekły łzy po policzkach Ewy, czy wreszcie nie zamknął się na chwilę w sobie Adam, by wspomnieć wspaniałe chwile z przeszłości.

O ile na obliczach trójki przyjaciół zauważyć można było spokój, opanowanie, beztróskę, wręcz — jakby to powiedzieć, używając nomenklatury wprost z ich świata? — „spokój Czasu”<sup>2</sup>, o tyle na twarzach siedzących na skórzanej kanapie postaci

---

<sup>2</sup>Siellandiański mitologiczny zwrot, który w tłumaczeniu na język polski oznacza: „opanowanie, zimną krew, angielską flegmę” (przyp. autora).

rysowało się zdenerwowanie zmieszane z niepokojem oraz nutką niepewności. Zmiana ta podyktowana była przede wszystkim podejściem do swoich obowiązków oraz do życia. Do miejsca, jakie ono każdej z nich znalazło w swoim łonie. Odpowiedzialnością tych drugich i kompletnym jej brakiem u tych pierwszych.

No, może niezupełnie w kwestii tego ostatniego było tak, jak to postrzegałem w stosunku do trójki przyjaciół spokojnie siedzących i zachwycających się kolejnymi zdaniem wyczytywanymi przez Tadeusza z rozłożonej na stole książki, a następnie tłumaczonymi na jedyny znany Adamowi język. Ich wiek i okres życia nie wymagał wszak od nich wielkiego pragmatyzmu. Czas na nią — a tak naprawdę na przyswajanie nauki, bo za to jedynie, według nich, byli de facto odpowiedzialni — właśnie się skończył. A w związku z tym również ich odpowiedzialność dobiegła końca. Została zawieszona do czasu ponownego jej nastania, czyli na co najmniej dwa miesiące. Było to proste i logiczne, a zatem nie dziwota, że takie a nie inne mieli wyrazy twarzy.

Poza tym nie mieli zbytnio czym się przejmować. Życie szło im bowiem łatwo, gładko i przyjemnie. Nieraz nawet łatwiej, niż przypuszczali. Nie widzieli zatem wielkich, burzowych chmur na horyzoncie, zbliżających się wielkimi, wręcz milowymi krokami sztormów i nawałnic, a jeśli nawet dostrzegliby je, to zawsze łudziliby się nadzieją, że się nad nimi to piekło nie rozpęta.

W tej sytuacji zatem... czym mieliby zaprzętać sobie głowę?

Ta sprawa wyglądała więc inaczej, aniżeli twierdzili dorośli, gdyż w mniemaniu seniorów to właśnie młodzież zazwyczaj zbytnio się przejmowała oczywistymi sprawami, i to bardziej aniżeli wymagałyby tego od nich rodzące się co rusz problemy codzienności lub życie jako takie. Uważali też przy tym, iż ci są zbyt przewrażliwieni otoczeniem i z tego głównie ta ich nadwrażliwość wynikała.

Jednakże z opiekunami Tadeusza ta sprawa miała się trochę inaczej. Oni bowiem przejmowanie się, obawę, drżenie — nawet na samą myśl — zazwyczaj nie podparte dowodami, wreszcie odpowiedzialność (niekiedy i przesadną) mieli wpisaną w kontrakt, jaki podpisali z życiem w momencie, w którym podjęli się trudnej sztuki wychowywania Tadeusza. To było nieodzownym elementem kodu DNA ich stanowiska i funkcji, jaką pełnili w domowej hierarchii. Dlatego — może niekiedy rzeczywiście zbyt przesadnie — na wszelki wypadek woleli dmuchać na zimne w stosunku do swego podopiecznego i mieszkania, w którym wraz z nim mieszkali. Poza tym obawiali się jego „dziwnych wybryków”, wynikających z faktu wejścia w tak zwany okres „cielęcego wieku”.

I tak też było w tym konkretnym wypadku. Stąd wynikał występujący w nich niepokój oraz idąca z nim w parze niemożność znalezienia sobie miejsca. Co więcej, wszelkie próby skierowania myśli na inne tory spełzały niestety na niczym.

Bardziej z nich dwojga niespokojna była ciotka. Być może była to wina jakiegoś instynktu, wewnętrznego głosu, który podpowiadał jej występowanie bardzo dziwnych — miejscami ocierających się o niedorzeczność — nie potwierdzonych, ale jakże prawdopodobnych wypadków dziejących się trzysta kilometrów dalej.

— Jestem bardzo niespokojna — wydusiła wreszcie z siebie tłumione od pewnego czasu słowa i wstała, po czym podeszła do okna. — Piękny widok — zauważyła, chwilę czasu próbując poświęcić na delektowanie się zachodem słońca za pobliskim lasem, chcąc w ten sposób odwrócić uwagę swoich myśli od złych i niekiedy wyimaginowanych wydarzeń, które te produkowały na potęgę od dłuższego już czasu.

Natychmiast okazało się, że ten manewr niestety na nic się zdał. Nie zmusił ich do zrobienia zupełnie czegoś innego, do obrania sobie za chwilowy chociaż obiekt westchnień innego wydarzenia lub innej postaci.

— Nie martw się na zaś — uspokajał ją wujek Tadeusza, który trochę wbrew sobie jednak nie zmienił swego położenia.

Tak naprawdę to powinien do niej podejść i złapać za ramię. A potem mocno przytulić, pogłaskać po głowie, pocałować delikatnym pocałunkiem w usta. A wszystko po to, by nie czuła się samotna. I by uspokoić jej lekko rozstrojone nerwy.

Też był niespokojny, ale grał twardziela. Nie mógł pokazać, że i on jest miękki, bo wtedy wszystko wymknęłoby mu się z rąk i pewnie zakończyłoby się to obopólnym płaczem, szlochaniem i wycieraniem sobie oczu. A nie chciał, by tak było. Dlatego uważał, że jedynym rozwiązaniem jest właśnie granie twardej skały, nieprzeniknionej i niemożliwej do skruszenia nawet przez natrętną kroplę wody. Poza tym z doświadczenia wiedział, że jego żona w tego typu sytuacjach właśnie takiej postawy od niego oczekuje, a zatem nie mógł jej zawieść. Na wszystkich frontach. We wszystkich aspektach. Nie dość, że okazałby się miękki jak gąbka, to jeszcze na dodatek ona nie miałaby w nim oparcia.

Wtedy pozostałoby mu jedynie zapaść się pod ziemię.

A jak już zostałby do tego zmuszony, oczywiście uczyniłby to w sposób należyty i odpowiedni do wyrządzonej jej krzywdy.

— Nie chodzi o zamartwianie się na zaś, a raczej o sprawy bieżące — odpaliła mu, nadal patrząc na prześwitującą pomiędzy rzadkimi drzewami czerwoną łunę

tworzącą niespotykany widok.

— A o co konkretnie ci chodzi? — zapytał i dopiero teraz podszedł do niej, stając obok i przyglądając się chwilę wspaniałemu zjawisku towarzyszącemu chowaniu się czerwonego kręgu słońca za linią horyzontu. — Jesteś niespokojna od momentu, kiedy tylko tutaj przyjechaliśmy w piątek. Krótko śpisz, miewasz dziwne sny, ciągle o czymś myślisz. Masz rozbiegany wzrok. Rozmawiasz półśłówkami — scharakteryzował jej zachowanie podczas ich wspólnego pobytu w tym miejscu przez ostatnie dwa dni z małym okładem.

„Trzeba było w ogóle nie przyjeżdżać” — pomyślał, ale na wszelki wypadek nie wyartykułował tego na głos, obawiając się jej reakcji.

A poza tym nie miał sumienia jeszcze bardziej jej denerwować.

— A ty nie myślisz? — próbowała zrzucić z siebie całą winę.

— Myślę, ale na pewno nie aż tyle co ty. Wyobrażasz sobie nie wiadomo co. Mam do niego zaufanie. Owszem, trochę ograniczone, ale nie aż tak, by z tego powodu rwać sobie ostatnie resztki włosów z głowy.

— A ja nie! — zaprotestowała. — Moje zaufanie do niego jest bardzo ograniczone, z powodu jego wcześniejszych wybryków. Wielokrotnie zrobił mnie w bambuko. A poza tym mam przeczucia i zazwyczaj się one sprawdzają. Nie będę ci teraz mówiła o nich wszystkich. Wystarczy, że sięgniesz pamięcią do przeszłości, a na pewno je szybko znajdziesz. Zresztą wiesz, że w jego wieku...

— Nie mierz wszystkich jednakową miarką — stanowczo się jej sprzeciwił. — On jest Tadeuszem, kiedy inni są po prostu innymi. Nie można wszystkich podstawiać pod wspólny mianownik. A poza tym nasz podopieczny ma swój rozum.

— Chciałabym w to wierzyć — odparła bez przekonania w głosie.

— Zawsze możesz go sprawdzić, jeśli naprawdę tak bardzo tego chcesz i od tego zależy dalsza twoja egzystencja... — stwierdził z sarkazmem i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. — Wybrać numer? — zapytał spokojnym głosem, licząc na to, że i jej to opanowanie się udzieli.

— Mój spokój na pewno — odpowiedziała. — Wybierz! — dodała.

Zrobił to i natychmiast przekazał jej telefon.

Ta chwyciła komórkę i przyłożyła ją do ucha, po czym chwilę czekała na połączenie.

Lecz nic takiego nie miało miejsca. Zamiast jego głosu usłyszała za to w słuchawce, że abonent jest poza zasięgiem sieci i uprasza się spróbowanie

nawiązania połączenia raz jeszcze za jakiś czas.

— Widzisz! — krzyknęła triumfalnie, oddając mu telefon. — Nie ma go w sieci — rzekła z wyrzutem, jeszcze bardziej się z tego powodu denerwując.

Nakręciło ją to niesamowicie. Na dodatek twarz zaczęła jeszcze bardziej blednąć, policzki drgać, a oczy błyskać dziwnymi iskierkami.

— Niepotrzebnie to zrobiłam. To nie był dobry pomysł. — cała drżała na ciele i mówiła bardzo podnieconym tonem.

— To jeszcze nic nie znaczy — próbował załagodzić sytuację mąż.

Nie kłamał. I wcale nie próbował niczego robić na siłę. Tak to widział i tak czuł, dlatego mówił to, co akurat przyszło mu na myśl.

— Może mieć przecież wyłączony telefon, a z tego powodu nie trzeba od razu robić wielkiej tragedii. Nie doszukuj się więc...

— Tak? — przerwała mu. — A może stało się jednak coś złego? — nie dawała za wygraną.

— Nie przesadzaj — odparł spokojnym tonem. — Nie rób z igieł wideł. Na pewno wszystko jest dobrze. Zaufaj mi — dodał.

— Już raz ci zaufałam — głośno wyartykułowała to, co jej leżało na sercu.

Spojrzała na niego i przeszyła go swoim bazyliżkowatym wzrokiem tak mocno, że aż ciarki mu przeszły po całym ciele.

— I co z tego mamy? — zapytała retorycznie — Jeden wielki nerw — natychmiast udzieliła odpowiedzi. — A mogliśmy wziąć go ze sobą, tak jak chciałam. Ta wasza męska solidarność — stwierdziła z dezaprobatą w głosie. — Ale ty wolałeś go bronić. To twoja wina — sprytnie przerzuciła ciężar odpowiedzialności za wszystkie plagi świata na niego. — Twój upór i bezgraniczne zawierzenie Tadeuszowi do tego doprowadziły. Trzeba mi było was nie słuchać i robić tak, jak mi podpowiadało serce, rozum i sumienie.

— Nie obwiniaj innych. I nie doszukuj się win na siłę tam, gdzie ich nie ma. To była przecież nasza wspólna decyzja. Oboje do tego w końcu doszliśmy. Oboje też zgodziliśmy się z tą koncepcją. Chyba z tego całego podenerwowania, wcale niepotrzebnego zresztą, pomieszało ci się wszystko. A poza tym jak to sobie wyobrażasz, skoro Adam miał przyjechać? Zapominasz o tym drobnym szczególe?

— Nie zapominam — stanowczo odpowiedziała. — Przecież mogliśmy po drodze go wziąć. Jeden dzień w tę czy w tę nie rzutuje. Ale nie, musiałeś postawić na swoim. Uprzeć się. Jedźmy tam natychmiast! — nagle zmieniła zdanie.

Zapagnęła bowiem jak najszybciej sprawdzić, jak to też bawi się jej wychowanek. Przeczuwała, że wszystko tam układa się według jakiegoś złego scenariusza. Że wszystko idzie nie w tym kierunku, w jakim chciałaby, aby poszło. Coś podpowiadało jej też, że podopieczny pozostawiony samopas — na dodatek z bardzo dużą swobodą, wynikającą przede wszystkim z braku kontroli — może doprowadzić do jakiegoś nieszczęścia. A może nawet i już do tego doszło? Przecież mogłoby tak też się stać zupełnie bez jego wiedzy i udziału, przypadkowo, a wręcz przy udziale nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Ale czy przyczyna byłaby ważna w aspekcie tego, co mogło się stać? Fakt byłby faktem i nikt nie roztrząsałby niczego nad rozlanym mlekiem.

Chciała zapobiec takiemu wariantowi. Dlatego zapagnęła jak najszybciej znaleźć się w domu. Spodziewała się, że tylko w wyniku takiego zdarzenia i jej reakcji na brak kontaktu z Tadeuszem, zszargane nerwy wróciłyby z dalekiej podróży. Uspokoilyby się i ponownie znalazły na odpowiednich torach. A poza tym nie wybaczyłaby sobie, gdyby faktycznie życie jej podopiecznego było zagrożone, a ona odpoczywałaby sobie w najlepsze. Tym bardziej że to coś panoszące się w głowie coraz otwarciej jej podpowiadało, że rzeczywiście tego typu rozwiązanie wcale nie może być bagatelizowane i nie przyjmowane do świadomości jako dobra moneta.

Pomimo wytężania umysłu w celu zlokalizowania owego podpowiadacza, nie była niestety w stanie namierzyć tego, co podpowiadało jej taki scenariusz. Czy była to zbyt rozbudzona w niej matczyzna troska, czy też po prostu zwyczajny, uparty, natrętny, bezczelny i bezwzględny w swoich nie zawsze właściwych osądach upór?

— Nie będę jechał po nocy — tym stwierdzeniem jej mąż próbował racjonalnie podejść do ważkiego problemu, zdecydowanie nie ułatwiając jej sprawy.

Mózg pracował na najwyższych obrotach i nie za bardzo pasowała mu taka idea. A mimo to znalazł w sobie odrobinę zdrowego rozsądku, który przebił się nagle przez wielką i grubą warstwę chmur zdenerwowania i nieracjonalnego myślenia, jakie udzieliły się i jemu.

— To trzysta kilometrów — bronił swojej decyzji jak niepodległości.

Nie był zbyt chętny do podróży, a już tym bardziej tego samego wieczora. Po prostu nie czuł się na siłach. Był zbyt zmęczony. Mało wypoczęty. Niewyspany. Patrząc na nią i widząc, że ona jest jednym wielkim kłębkim nerwów, wulkanem tuż przed erupcją wiedział, iż się z tego nie wywinie. Jedyne co mógł zrobić w tej sytuacji, to odwlec ten moment chociaż na kilka godzin. I to była jedyna i naturalna forma jego obrony.

— Ale możemy wstać o świcie i wtedy pojechać — zaproponował rozwiązanie, według niego salomonowe. — Potrzebuję kilku godzin na regenerację sił, żeby bezpiecznie nas dowieźć. A chyba bezpieczeństwo w tym całym szaleństwie jest najważniejsze... — tymi słowami starał się uderzyć w czułą nutę i złamać jej opór. — Myślę, że te kilka godzin nas nie zbawi.

— Też mam taką nadzieję — zauważyła spokojniejszym głosem, ale nie był to dźwięk rozpaczony czy też całkowitego poddania się. Do wywieszenia białej flagi było jeszcze daleko. — Dobrze, niech tak będzie — dodała po chwili, całkowicie przekonana co do jego argumentów.

Zrezygnowała. Grzecznie oddała pola. Ale w tym momencie także zdała sobie sprawę z tego, że i tak była na straconej pozycji. Bez jakichkolwiek szans na zwycięstwo. Tym bardziej skoro rzeczywiście chciała zobaczyć Tadeusza i przeżyć jeszcze jakiś czas. Był wszak jedynym kierowcą, który mógł ich zawieźć z powrotem, więc jej upór i stawianie wszystkiego na jedną kartę byłoby jedynie szamotaniem się dopiero co złowionej ryby w sieci. Jej mąż, gdyby się uparł, to i tak nie zmieniłby zdania. I nie na przekór, zwyczajnie na złość, czy z prostego „nie, bo nie!”, a ze względu na zapewnienie im obojgu odpowiedniego poziomu bezpieczeństwa.

— W takim razie idziemy spać — zaproponował wujek, upatrując w tym rozwiązaniu jedyną szansę definitywnego odłożenia w czasie tego tematu.

Spodziewał się, że to nie koniec i problem ten niebawem i tak wróci jak bumerang, może nawet ze zdwojoną siłą? Wraz z pobudką. Ale do tego czasu przecież wiele może się zmienić. Ona może ochłonąć, może zrzucić ze swego umysłu uciskającą go opaskę obecnego spojrzenia na to wszystko. Może nawet dodzwoni się, porozmawia z Tadeuszem i odpocznie. Zrozumie. Spojrzy na to wszystko inaczej. Spokojniej.

I na to właśnie liczył.

Chwilę potem znaleźli się w łóżku. On zasnął szybko, prawie natychmiast, ledwie przykładając głowę do poduszki.

Ona miała znacznie dłuższą i bardziej wyboistą drogę do całkowitego oddania się w kojące ręce snu. Długo rozmyślała nad tym, co działo się w domu przez ostatnich kilka dni, rysowała okrutne obrazy, zabarwione tragediami, dziwnymi spotkaniami, wreszcie przemocą. A potem jeszcze przyszła ochota na rozmowę z podopiecznym, ale nie chcąc budzić męża, zrezygnowała z tego pomysłu.

Wreszcie, dobrze po północy, czyli mniej więcej w tym samym momencie, w którym Tadeusz oraz Ewa i Adam szykowali się do snu, zmęczona wieczornymi

koszmarami oraz myślami poległa i zasnęła wtulona w męża.

\*\*\*

Tymczasem przyjaciele psuli sobie wzrok, ślęcząc — tym razem już tylko w blasku żarówki — nad grubym, opasłym tomiskiem, z którego Tadeusz wolno i wyraźnie wyczytywał kolejne wyrazy, natychmiast tłumacząc całe zdania na język polski.

Cała trójka była jednak myślami zupełnie gdzie indziej. W innym świecie. Wśród obrazów, które podrzuciła im co chwilę wyobraźnia. A to przy wysokich, rozkołysanych i mokrych od rosy trawach, stanowiących naturalny budulec podłoża Pałacu Siel i Natury. Innym razem wśród kwitnących w nim kwiatów. W bystrych strumieniach i przy jeszcze bystrzejszych wodospadach. W krystalicznie czystych jeziorach. Obcowała też ze wszystkimi gatunkami zwierząt, ba! uczestniczyła w naradach z ich udziałem, a wśród nich i w tych najważniejszych: tej, podczas której Siel i Natura zostali nominowani i namaszczeni przez Czas na władców Przyrody, jak i tych, podczas których wykluwała się ostateczna koncepcja Bieli oraz Siellandii. Czuła także zapach kwiatów unoszący się w każdej komnacie Pałacu, powiew wiatru spowodowany czy to oddziaływaniem Wiatru, czy też delikatnym i prawie niewidocznym przemieszczeniem się samej Siel. Wreszcie poznała smak i dotyk wody zarówno tej w rozlicznych jeziorach i stawach, jak i tej otaczającej Pałac, a nazywanej Oceanem Bezkresu. Udało jej się także usłyszeć pełen ciepła i miłości głos zarówno Czasu, jak i władców i zarazem mieszkańców Pałacu.

Oddali się całkowicie we władanie tamtego świata, tak że nie przejmowali się w ogóle otoczeniem. Zapomnieli o nim na tyle skutecznie, iż nie dochodziły do nich żadne bodźce ani odgłosy.

Ale realny świat niebawem dał znać o sobie. Nagle i brutalnie. Niczym fale morza przy wschodzie słońca na piaszczystą plażę wdarł się w ich chwilowy świat, doprowadzając w ten sposób do przerwania tak miłej i emocjonującej lektury tej wyjątkowej książki, przechowywanej przez gospodarza na najbardziej honorowym z miejsc w bibliotece.

Przyczyna tego stanu rzeczy była błaha, albowiem jedno ze słuchaczy musiało niezwłocznie udać się do toalety.

— Cóż, jutro a właściwie już dzisiaj, też jest dzień, zatem chyba wystarczy jak na dzisiaj, czyli wczoraj — chwilę potem zauważył trafnie Adam, powróciwszy do pokoju. — Tym bardziej że czuję się trochę zmęczony — dodał.



— Sugerujesz, że po tym wszystkim powinniśmy po prostu iść spać? — zapytała Ewa, której jako jedynej z tego grona najmniej było spieszno do objęć Morfeusza.

— A co, Siellandianie nie spali? — zapytał zaskoczony. — Czyżbym popełnił drobne faus...

— Nie — stanowczym tonem wtrącił Tadeusz. — Masz rację. Idźmy spać. Ja też czuję się lekko znużony, dlatego popieram twój pomysł. Dzisiaj dokończymy — stwierdził, zamykając książkę. — A jeśli ktoś nie chce iść spać, to ja go do niczego nie zmuszam — zostawił furtkę dla Ewy.

Zaraz potem Adam i Tadeusz wyszli z pokoju, by udać się spać w sąsiednim pokoju, w ten sposób pozostawiając przedstawicielkę płci pięknej samą. A ta, pozostawszy w nim, zgasła światło.

Za moment dwójka przyjaciół znalazła się w jednym łóżku.

— Niby nie chciała spać, a już śpi — zauważył Tadeusz kilka minut potem, wchodząc do pokoju po uprzednim sprawdzeniu, czy wyłączył wszystkie urządzenia w kuchni oraz czy zamknął drzwi wejściowe. — Światło zgaszone, drzwi przymknięte, cisza i spokój w pokoju — analizował. — Zatem może i my idźmy spać? — zaproponował.

Spojrzał na leżącego w łóżku przyjaciela. Spod kołdry wystawał jego nagi tors oraz nogi od kolan do stóp. Resztę przykrywała biała pościel.

— Znowu śpisz nago? — zapytał trochę retorycznie, może żeby się upewnić, albo żeby zmusić go do wypowiedzenia się w tej kwestii, bo to, co zobaczył wskazywało jednoznacznie, że tak było.

— Jest duszno, parno i gorąco pomimo otwartego okna, więc zdjąłem pidżamę. Masz coś przeciwko temu? — spojrzał mu prosto w oczy.

— Przecież wiesz, że mi to nie przeszkadza — odparł, gasząc światło. — Ale jak Ewa rano wejdzie i cię zobaczy, to co zrobisz? — zapytał, próbując zasiać niepokój w jego myślach.

Wszedł do łóżka, położył się na jego skraju i przykrył pozostałością kołdry. Była tak wielka, że obaj spokojnie mogliby się nią dwa razy okryć i jeszcze dużo by zostało.

— Nic — odpowiedział bardzo spokojnie. — Przynajmniej sobie popatrzy. Jest na co. A poza tym... — zawiesił na moment głos, jak aktor w kulminacyjnym momencie sztuki — nie mam nic do ukrycia — dodał.

— Ty świntuchu — uśmiechnął się delikatnie. — Lepiej śpij, a nie rozmyślaj o dupie Maryni — dodał i zamknął oczy.

Chwilę potem obaj smacznie spali. Obok siebie.

Jednakże Ewa, wbrew przypuszczeniom gospodarza, nie spała. Z prozaicznego powodu. Chwilę bowiem po tym, jak chłopcy opuścili pokój, dopadła ją Wena twórcza. Jak zawsze usiadła na ramieniu i zaczęła czule szeptać słowa.

Nie mogła jej odmówić, ale też nie chciała. Z tego to powodu szybko wyjęła z torebki zasilacz do telefonu, podłączyła go do kontaktu i uzbroiwszy dłoń w rysik, rozpoczęła zapisywanie podszeptów gościa w specjalnej do tego celu aplikacji.

A słowa te układały się w następujący tekst:

*Drogi mój!*

*...Nie patrzmy za siebie, na to, co było,*

*Bo to, co przed nami, powinno być siłą...*

Specjalnie rozdzieliła to zdanie na dwa człony, albowiem w momencie ich zapisywania nasza ją wątpliwość, czy aby na pewno były to słowa wypowiedziane przez Wenę, czy może już myśl Tadeusza? Miała co do tej z pozoru oczywistej sprawy pewne wątpliwości. Był to przecież wiersz, przynajmniej jego fragment, i to na dodatek — o ile jej intuicja nie zawodziła, a także o ile dobrze знаła gospodarza mieszkania — bardzo podobny do stylu Tadeusza.

Nie miała co do tego faktu złudzeń, jednakże brak jej było jednoznacznych dowodów na potwierdzenie tego przypuszczenia.

Ponadto Wena podszeptowała kolejne wyrazy, przez co musiała skupić się na nich, a nie na roztrząsaniu i poszukiwaniu prawdy. Tylko że następne słowa, zamiast rozwiązać problem, jeszcze bardziej umocniły ją w nagłym przeświadczeniu. A brzmiały one tak:

*Pozwoliłam sobie rozpocząć ten list od fragmentu Twojego wiersza.*

*Jak widzisz, zajęłam się ich dogłębną lekturą. Wiele z nich już przeczytałam i wiele zainspirowało mnie do napisania tego listu, który równie dobrze możesz traktować jako dodatek do wcześniejszego. A' propos poprzedniego... Musisz wiedzieć, że niestety jeszcze go nie wysłałam. Miałam takie ambitne plany, niestety brak czasu wszystkie pokrzyżował. Nic straconego, wyślę go wraz z tym.*

*Myślę, że mi wybaczysz.*

*Jesteś cudowny, więc bardzo Ci za to dziękuję...*

„To brzmi tak samo, jakbym to ja pisała, a przecież to pisze jedna z moich bohaterek do swego ukochanego” — galopowała w jej głowie myśl niczym w

cudownych zamierzchłych czasach ręce żrebię w Pałacu Siel i Natury.

Ale i ta myśl została natychmiast pożarta przez szepty Weny, dlatego czmychnęła w najdalszy kąt niczym szczury przed żoną Popiela.

*„Może też on dla Ciebie być czymś zupełnie niezależnym od tamtego — szeptała Wena, a Ewa skrzętnie zapisywała. — Minęło jednak kilka dni. Za oknem ziąb i deszcz, dokładnie tak, jak mi wtedy przepowiedziałeś. Niesamowite, jak precyzyjnie przewidziałeś pogodę. Ale dzięki temu ja nabyłam szereg nowych spostrzeżeń, które aż przelewają się. Kipię nimi jak garnek zupą.*

*Stąd potrzeba ich przelania na papier.*

*Możesz też ten list traktować w każdych innych kategoriach. Masz do tego prawo. Nie narzucam Ci niczego. Nie wymuszam. Lecz musisz przy tym wiedzieć, że jakkolwiek byś go traktował, jest on integralną częścią mego jestestwa: moich myśli, poglądów na życie, marzeń i tęsknot, które teraz, a i wcześniej przechodzą przeze mnie, wychodzą na zewnątrz i stają się swoistą wizytówką.*

*Nie chciałabym również, aby którykolwiek z moich listów był traktowany jako czynnik determinujący podjęcie przez Ciebie decyzji. Jestem daleka od takiego rozwiązania. Nie chcę Ci niczego narzucać, ani w żaden sposób oddziaływać na Ciebie. Twoja decyzja ma być li tylko Twoją i podjęta tylko w zgodzie z Twoim sumieniem. Wiem, że nie mogę się ustrzec pewnych zdań, wyrażań, czy słów, które bardzo dobitnie — jak w lustrze*

*— odbijają w sobie obraz mej duszy, albowiem każde słowo, które tu piszę, podpowiada mi serce. To samo serce, które już podjęło decyzję. Takową też podjął rozum.*

*Zatem finalne rozwiązanie nie jest niczym innym, jak wypadkową obu tych żywiołów, które — choć są w sprzeczności ze sobą — okazuje się, iż jednak mają wiele cech wspólnych.*

*Nie chcę więc niczego na Tobie wymuszać. Wręcz przeciwnie, pragnę zapewnić Ci ciszę i spokój, których przecież tak bardzo potrzebujesz, by mieć pełny przegląd sytuacji. Mniemam, że i Ty też tak sądzisz. Jeśli zatem stwierdzisz, że którymkolwiek wyrazem naciskam na Ciebie i robię z Ciebie niewolnika moich myśli i poglądów, więźnia swojej zachłanności, podrzyj ten*

*list, a także każdy następny. Wyrzuć lub spal, by śladu po nich nie było. Zapomnij, że je kiedyś otrzymałeś, aby nie raniły Ciebie, nie wyciskały łez z serca, nie przygnębiały Ci duszy. Jeżeli natomiast jest inaczej, to wiedz, że będę Ci wdzięczna po wsze czasy, jeśli zachowasz je w sercu, pamięci i gdzieś na dnie szuflady. Niech spoczywają tam, bo po latach będą cudowną pamiątką naszych czasów, może... naszej młodzieńczej naiwności, ale na pewno naszej wspólnoty. Natchnieniem nas samych i naszej pamięci...*

„To Wena, czy też moje myśli? — zwątpiła w pewnym momencie. — Bo nadal brzmi to jak moje słowa — korzystając z chwili przerwy w podpowiedziach gościa, myśli znowu rozbiły się o wielkie, strzeliste skały. Niczym fale morza o te odległe zaledwie o kilka kilometrów od jej domu. — Tylko do kogo je kieruję?” — zapytała sama siebie.

I tak zakończył się dalszy ich rozwój, bowiem pani i władczyni tej nocy, która miała już i jej serce, duszę oraz umysł we władaniu, ponownie wkroczyła do akcji, szepcząc:

*Piszę tak, bo bardzo się w ostatnim okresie rozmarzyłam. Pogoda, którą tak dokładnie przepowiedziałeś niestety potwierdziła się, co spowodowało niewielkie opóźnienie w żniwach. Niewielkie, bo tydzień nie jest wielką tragedią. Zważywszy jednak na fakt, iż czas ten można wykorzystać na znacznie ciekawsze rzeczy, jak chociażby myślenie o Tobie, wspomnianie oraz przede wszystkim czytanie Twoich wierszy, to bardzo dobrze. Lecz, jak sam dobrze o tym wiesz, każdy kij ma dwa końce. Bo przerwa ta spowoduje, że do Twoich długich i cudownych ramion, do wspólnych romantycznych spacerów, wreszcie wzajemnych rozmów powrócę później, niż pierwotnie zakładałam. Pocieszam się zatem każdego dnia, że skoro wytrzymałam tyle, to wytrzymam jeszcze trochę. Za drugie tyle będę miała już za sobą dwa razy tyle, a zatem wytrzymam cztery razy tyle. W końcu te ileś tam tyle za mną spowoduje, że dwa razy to ileś tamte będzie akurat tymi tygodniami, które miną od początku. A zatem... nim się obejrzę, będę się musiała już zbierać. Jestem pewna, że wytrzymam, bo przecież czas płynie, ucieka i z każdą kolejną sekundą przybliża nas do spotkania ze sobą, niezależnie od tego, kiedy miałyby to miejsce.*

*Cóż, pozostają mi tylko litry wylanych łez. No i oczywiście czekanie. Ale na nie zawsze jest czas.*

*Wracając do Twoich wierszy: bardzo się cieszę, że je mam ze sobą.*

Są częścią Ciebie. Odkrywają przy tym Twoją duszę. Obnażają ją. Każdy kolejny jest piękniejszy od poprzedniego. Sugestywniejszy. W końcu po prostu mądrzejszy. Dojrzałszy. Nie bójmy się tych stwierdzeń, bo to prawda. Ze wszech miar najprawdziwsza prawda. Z każdego z nich bije ciepło i życiowa mądrość. Że też tyle jej jest w Tobie, nie wiedziałam. Życie wiele Cię nauczyło. A i ty wiele możesz nas nauczyć.

Twoja poezja mnie urzekła. Rysuje się w niej obraz Ciebie takiego, jakim Cię nigdy nie znałam, a którego poznawanie jest niesamowitym przeżyciem — prawie bliskim fascynacji. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, iż z wieloma zawartymi w niej stwierdzeniami można się zgodzić i zazwyczaj są one zgodne z moimi poglądami. Lecz są wśród tych wierszy i takie, które kompletnie odrzucam, które są kompletnie nie do przyjęcia. Nie znaczy to, że neguję wszystko, co przekazujesz w swojej poezji. Nic podobnego! Szanuję Twoje zdanie na każdy temat, nawet jeśli jest sprzeczne z moim.

Przecież każdy ma prawo do swoich poglądów.

Owszem, jest nieraz we mnie bunt przeciwko temu, co piszesz. Niekiedy krzyczy głosem dezaprobaty każdy najmniejszy nawet zakamarek mojego jestestwa. I nie ukrywam, że tak jest. Lecz to normalna reakcja. Ale zaraz po tym przychodzi nieudawany zachwyty nad prostymi środkami wyrazu, których użyłeś, by przekonać mnie do swoich racji. I nie ma w tym co pisać krzty przesady, buńczuczności z mojej strony, bo jeśli czytając dany wiersz „coś” koliduje serce i chwyta za gardło, wypuszczając marzenia, wspomnienia i wodze fantazji na szeroką wodę, to znak, że „coś” w tym jest. Więc myślę sobie, że nie masz się co wstydzić tych wierszy. Twórz je dalej, kontynuuj opisywanie siebie samego, odbijaj w nich jak w lustrze swoją duszę, by karmić serce każdego czytelnika, dawać mu natchnienie, wiarę i siłę, gdy bardzo tego potrzebuje. Niech będą dla niego orężem w walce przeciwko przeciwnościom Losu. Proszę Cię, twórz je dalej. Są potrzebne każdemu z nas. Są bowiem tak sielandiańskie, takie piękne...

Czy napisałeś coś nowego? Jeśli tak, daj mi proszę znać. Prześlij kawałek, choć odrobinę. Niewielki fragmencik. Już drzę z podniecenia na samą myśl, że stworzyłeś kolejne arcydzieło...

„No właśnie — tym razem rozpanoszona od pewnego czasu myśl przerwała

wystąpienie Weny, wychodząc przed szereg, aby zaistnieć. — Czy pokażesz mi kiedyś swoje wiersze? Czy napisałeś coś nowego? — zadała identyczne pytania, jakie chwilę wcześniej zapisała. — I czy też po nich powiem tak samo jak moja „A”?”.

I to było wszystko, na co stać było w tym momencie myśli, albowiem dobitny szept Weny wszystkie kłębiące się od jakiegoś czasu w głowie rozgonił w najdalsze zakątki. Czyniąc identycznie z tym, co swego czasu Ludzie uczynili z siellandiańską cywilizacją.

*Na koniec, aby spiąć w całość ten list — a wraz z nim wszystkie towarzyszące jego powstaniu myśli — swoistą klamrą, pozwól mi na osobistą refleksję. Dotyczyć będzie motta, motywu przewodniego tego listu, zaczerpniętego prosto z Twojego wiersza. Nie obraż się, ale nie zgodzę się z Tobą. Przeszłość bowiem zawsze była, jest i będzie integralną częścią naszego „dzisiaj” i naszego „jutra”. Czym bylibyśmy „dzisiaj”, bez pamięci o tym, co się wydarzyło „wczoraj”? Jak bez cienia przeszłości wyobrażasz sobie wyciąganie wniosków „dzisiaj” takich, by „jutro” nie było samym pasmem niepowodzeń i porażek? Tak samo, jak nie uda się mieć „jutra” spokojnego bez dobrej znajomości „wczoraj”. To przecież pamięć i tradycja wciąż nas pchają ku lepszym czasom. Na tym polega postęp. A wierz mi, nie ma go bez owych „cieni”. Nie ma i nie będzie. Owszem, „dziś” i „jutro” są bardzo ważne, ale nie należy zapominać, że „dzisiaj” jutro będzie już „wczoraj”. I tak, czy nam się to podoba czy nie, wciąż będzie niezmiennie. Aż do dotarcia przez świat do Fin-Des<sup>3</sup>. Bo czas, choćbyśmy tego bardzo pragnęli, nie zatrzymuje się w miejscu, ani tym bardziej nie cofa się. Za to wciąż jak oszalały gna do przodu.*

*Dlatego podziwiam każdego, kto potrafi zatrzymać się w pół drogi, wstrzymać oddech, zamyślić się na chwilę i przez to — jakby wbrew naturze — iść potem pod prąd. I Ty taki jesteś. Masz bowiem w sobie dosyć siły, by przystanąć, spojrzeć na wszystko z dystansem, powiedzieć, co o tym myślisz i dopiero po wypowiedzeniu wszelkich kwestii wyruszyć w dalszą drogę, poddając się wirowi czasów. To piękne i trudne zarazem.*

*Nie myśl, że wiersz, o którym piszę mi się nie podoba. Nic podobnego! Jest naprawdę cudowny, dopracowany w każdym calu. Rzec by można tak*

---

<sup>3</sup>Dla przypomnienia: według języka siellandiańskiego oznacza to „Ostatnią Pustynię”, czyli Pustynię, do której (według siellandiańskich mitów) zbliży się kiedyś w przyszłości świat (przyp. autora).

*doskonały, że aż... palce lizać!*

*Wierz mi, że mogłabym tak godzinami pisać i pisać, ale niestety... Leib jest już wysoko na niebie, co znaczy, że jest bardzo późno. Rozgwieżdżone niebo i parność w powietrzu wróżą cudowną pogodę. A to oznacza, że rano trzeba będzie wstać skoro świt.*

*Cóż, wiadomo — żniwa.*

*Kończę zatem, życząc sobie i Tobie wytrwania w te trudne dni oraz niezapomnianych, fantastycznych i kolorowych snów. Niech nas przeniosą w krainy, do których tęsknimy z tymi, których kochamy. I obyś miał zawsze czas na spotkanie ze swoimi przyjaciółmi.*

*Kończę z nadzieją, że przeczytałeś ten list do końca i że znajdziesz odrobinę czasu, by naskrobać mi kilka zdań. Ciekawa jestem, co wydarzyło się w Pi od czasu mojego wyjazdu. Czy „Z” odzyskała świadomość, czy wszystko jest dobrze?*

*W duchu liczę na to, że nie będziesz zbyt długo utrzymywał mnie w niepewności i natychmiast zaczniesz rozwiewać wszelkie wątpliwości.*

*A jeśli nie, to też się nic nie stanie...*

*Całując Cię mocno, bardzo gorąco pozdrawiam w imieniu całej mojej rodziny. Nie zapomnij przekazać pozdrowień Twoim rodzicom oraz bratu.*

*Pa!*

*Oczekująca na jakikolwiek odzew z Twojej strony*

*„A”.*

„Piękne i mądre słowa, pod którymi jestem w stanie podpisać się obiema rękami” — spuentowała.

Jednakże wraz z tym przebłyskiem geniuszu nastąpiła cisza. W głosie, myślach i otoczeniu. To był jasny i oczywisty znak, iż wizyta Weny dobiegła końca i nie da się z niej już niczego — a już tym bardziej konstruktywnego — wycisnąć. Zatem dalsze wyczekiwanie nie miało sensu.

W związku z tym zapisała więc notatkę, zamknęła aplikację i cicho, żeby nie zbudzić przyjaciół w sąsiednim pokoju, odłożyła komórkę na stół, po czym weszła do łóżka i... natychmiast poddała się lepkiemu mackom snu.